

Upadki według czarnego anioła



Upadki według czarnego anioła

Nie uchodzi brak czasu

- dla rodziny, która ładuje akumulatory,
- na czytanie książek, które uskrzydłają,
- na urlopy,
- i na regularne jedzenie (konkretnie: zdrowe odżywianie się).

Biznesmeni, których trenuje, chwala się, że obiad zamawia im sekretarka. Albo że od trzech lat nie byli na urlopie. Zmienia im priorytety.

To, czym się zajmuje, nazywa się: leadership mentoring, personal branding, executive coaching.

Mówi o "optymalizacjach, probablistyce czy organizacyjnych problemach wzrostu w obszarze strategii, bezpieczeństwa lub przywództwa".

Pewny swoich sądów, które podpira cytatami wybitnych intelektualistów. W myśl zasady: cytata do każdej opinii.

Wielokrotny bankrut. Finansowy i życiowy.

Dorota Wodecka: Odbiło panu kiedyś?

Robert Krool, trener biznesu: Trudno, żeby nie. W wieku 21 lat byłem jednym z najmłodszych w Niemczech menedżerów. Zarabiałem potrójną średnią krajową, czyli w dzisiejszych realiach od 16 do 20 tys. zł miesięcznie. Jeździłem porsche.

To ważne, że porsche?

- Ważne. Bo zanim zająłem się ubezpieczeniami, zawaliła mi się kariera sportowa. Szukałem dla siebie perspektywy i ona zmaterializowała mi się w perfekcyjnych kształtach porsche carrera. Chciałem je mieć. To z jego powodu zamieniłem szkołę dzienną na wieczorową i zacząłem sprzedawać ubezpieczenia. Sądziłem, że jak już będę

miał porsche, to jakbym sobie koronę na głowę nasadził. I gdy podjadę takim wozem do klienta, to on padnie na kolana.

A wieczorem przyjadę do biura i będę patrzył na nie z okna i się umysłowo onanizował. Wierzyłem wtedy, że chcieć plus mieć równa się być.

Co jeszcze wtedy było ważne?

- Nie miałem wyrobionej kultury pieniądza. To, co zarabiałem, musiałem szybko wydać. Na wszystko. Począwszy od samochodów, a skończywszy na restauracjach. Kupowałem mieszkania na kredyt, ale wynajmowałem je, bo sam musiałem mieszkać w o niebo lepszych. No i nie płaciłem podatków.

Nic dziwnego, że pan zbankrutował.

- To było straszne. Pani w kasie domu towarowego przecięła nożyczkami moją kartę kredytową. Na stacji paliw, gdzie miałem otwarty rachunek, sprzedawca zażądał gotówki. Zabrano mi samochód, który leasingowałem. Bank przejął mieszkania, z których musieli wyprowadzić wynajmujący je moi lokatorzy. Odcięto mi telefon. A ja zamiast sobie z tym radzić, martwiłem się, co ludzie sobie o mnie pomyślą. Zacząłem się izolować. Cały dzień leżałem w łóżku, udając chorego. Wychodziłem wieczorem, kiedy mnie już nikt nie mógł zobaczyć. W końcu postanowiłem się zabić. Ale przyznaję, z fantazją.

Jak?

- Zrealizowałem ostatni euroczek na 400 marek. Kupiłem whisky, paczkę fajek, najnowsze wydanie "Spiegel'a" i "Cash'a", kraby w sosie tysiąca wysp i trzy opakowania środków nasennych. Do whisky zaparzyłem imbryk zielonej herbaty, a do krabów kupiłem bagietkę oliwkową. Chciałem, jedząc, poczytać, a potem popić tabletki alkoholem.

Plany wzięły w łeb, bo w czasie czytania natknąłem się na ogłoszenie o seminarium w Baden Baden. Temat dotyczył radzenia sobie z długami w sytuacji plajty. Uzmysłowiłem sobie, że nic na ten temat nie wiem. Postanowiłem pojechać i skończyć ze sobą ewentualnie po powrocie.

Co się wydarzyło?

- Przebudziłem się. Jeden z wykładowców powiedział mi, że człowiek zaczyna używać dopiero wtedy rozumu, kiedy kończą mu się wszystkie możliwości. Wcześniej korzysta tylko z procedur. Dostałem nie tylko kilka rad, ale mnóstwo energii. Wróciłem do domu, wywaliłem tabletki i zacząłem działać. Nie miałem nic do stracenia, tylko przeszłość. A ta nie jest warta, by nią żyć. Chwilę potem dziewczyna, z którą się spotykałam, powiedziała, że jest w ciąży. Byłem przerażony, ale z drugiej strony mogłem dzięki temu uciec w tak zwaną odpowiedzialność za kogoś, po to by udowodnić sobie i całemu światu, że nie jest ze mną aż tak źle. Odbiłem się od dna i znów się dorobiłem. Dzięki propozycji i zaufaniu znajomego, który zaproponował mi wspólny biznes, bo wiedział, że nie mam nic do stracenia

I znów pan zbankrutował?

- Niezupełnie. Ustąpiłem miejsca na własne życzenie. Miałem 29 lat i postanowiłem odejść od wszystkiego, co miałem, po to by znaleźć coś nowego. Wynająłem biuro z dala od współnika i partnerów, zacząłem marketingowo stawiać przede wszystkim na swoje nazwisko. Oddałem bez walki i za darmo wszystko, co wiązało się z podstawami mego majątku. Również w małżeństwie poczułem, że muszę się uwolnić. Byliśmy kiedyś sobą zafascynowani, ale to nie była miłość. Oczywiście staraliśmy się, wpojono nam przecież,

że dla dobra dziecka trzeba...

A to nieprawda?

- To tani kit psychologiczno-duchowy. Wmówiono nam, że jak masz poczucie winy, to nie jest to poczucie winy tylko miłość. Jak masz poczucie obowiązku, to nie jest to poczucie obowiązku, tylko miłość. Jak masz poczucie litości, to nie jest to poczucie litości - to miłość. Mój związek był zbudowany na poczuciu obowiązku, poczuciu winy, poczuciu litości.

Odszedł pan do kolejnej kobiety?

- Tak. Musiałem być z kolejną, bo w przeciwnym razie nie odszedłbym od żony. Byłem za wygodny. Musiałem sprawić, by żona dowiedziała się o tej drugiej, znenawidziła mnie i opuściła mnie wreszcie. Wiem, wiem, tchórzostwo.

Kolejna miłość czy fascynacja?

- Związek. I potem jeszcze jeden, i następny. No tak, byłem babiarzem, mimo że nie mam takiej natury. Ale przez prawie dziesięć lat funkcjonowałem z kobietami, które same do mnie przychodziły. A tymczasem kobiety, o które być może warto zabiegać, nie zawsze są tymi, które do nas same przychodzą. Te ostatnie mają różne intencje. Najczęściej nie wychodzi im w życiu i potrzebują kogoś, kto je ogarnie. I niekoniecznie są z tym szczęśliwe. Zdarzają mi się takie klientki w moim życiu zawodowym. Same przyznają, że zbyt późno uświadomiły sobie, że mężczyzna, którego sobie wybrały, nie jest tym, z którym chciałyby się zestarzeć. Często uciekają w dewocję. W mojej karierze doradczej, obserwuje już 14. taki przypadek, kobiet w okolicach czterdziestki, pięćdziesiątki.

Co z tego wynika?

- Po pierwsze, że miłość nie może być jakimś martyrologicznym oddaniem. Po drugie, nie można siebie zaniedbywać, poświęcając drugiej osobie.

Zdaję sobie sprawę, że to dzięki Ewie, która zerwała owoc z drzewa poznania, nie jesteśmy bezmyślnymi, rajskimi bydłatkami, nieświadomymi i latającymi z gołym tyłkiem. Kobiety, w przerośni, wyzwoliły nas z naiwnej, słodkiej, dziecinnej bezmyślności edeńskiej. Moim zdaniem to była nagroda, a nie kara. Dały nam wolność. Ale czy same z niej korzystają? Wiele kobiet, by nie powiedzieć, że wszystkie, z którymi przebywałem, w sumie okazywało się pasożytami.

Znów nie rozumiem.

- Były nastawione wyłącznie na branie i czerpanie. Uzależnione ode mnie. A ja królowałem nad wszystkimi z gestem osła, szlachcica na włościach. Ojciec fundator. Ojciec prezes. Ojciec dyrektor. Bóg Słońce. Wpatrywały się we mnie beztrąsko, a ja martwiłem się o wszystko. Nawet o ich bezradność i niekiedy bezmyślność. Cokolwiek by się nie stało w ich życiu, czułem się winny. Winny niepowodzenia, złego nastroju, no wszystkiego. Jeżeli ktoś nie potrafi się sobą zająć, to staje się dla drugiego kulą u nogi.

Co jest złego w dawaniu?

- Obdarowując je tak naprawdę zniszczyłem, pogrążyłem, mając przy tym poczucie bycia wspaniałym, niewinnym, mądrzejszym. Ja - Bóg Słońce - zniewalałem je. A prawdziwa bezwarunkowa miłość uniezależnia. Ona usamodzielnia, daje siłę i pewność siebie. Nie trzeba o nią zabiegać, walczyć. Te kobiety czekały, bym się nimi zajmował, a to, co mi

dawały od siebie, nie było naturalną ich potrzebą, tylko rodzajem układu. Spełniania oczekiwań kulturowych. Homer uważał, że facet musi zabić potwora, ocalić niewiastę i zbawić świat. Jak to jest u kobiet, tego akurat nie napisał, ale wiadomo, że najczęściej wbija im się do głowy, że one muszą znaleźć faceta, który przejmie odpowiedzialność za całą rodzinę. No i oczywiście muszą urodzić dziecko. Ta, z którą pięć lat temu ożeniłem się, nie wzięła sobie tych bzdur do serca, mimo że jest córką pastora. No, czarna owca (śmiej), która próbowała tłumaczyć rodzinie, że to, czym się zajmują to biznes, a nie wiara. A jeśli wiara to bardzo naiwna i głupia. Wie pani, ja za nią biegałem jak sztubak kilka miesięcy, acz byłem już dorosłym 34-letnim mężczyzną.

To długo?

- Nie pamiętam, żebym za jakąkolwiek kobietą tyle biegał. Wymyślałem różne rzeczy, żeby ją zwabić.

Jakie?

- Przede wszystkim nieoczywiste dyskusje i romantyczne kolacje.

Banalne, przyzna pan.

- Tyle że romantyczna kolacja jest dlatego romantyczna, bo towarzyszy jej ciekawa rozmowa. W związku z tym zastanawiałem się nad tematami, które mogą ją jeszcze zainteresować.

Jak bym słuchała Bridget Jones.

- Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu myślałem, o czym ostatnio gadaliśmy i o czym można by jeszcze. Byłem nią podekscytowany, bo odkryłem, że ma własne zdanie i pomysł na siebie. A brak pomysłu na siebie to pewna wyczona forma bycia, nabyta estetyka. Nieodłączny towarzysz większości ludzi. A ona była inna. Dodam, że okoliczności, w jakich się poznaliśmy, były zdumiewające.

Prowadziłem dla jednej z firm rozmowy kwalifikacyjne, na które przyszła. Powiedziała, że śluby to nonsens kompletny. Kiedyś bogowie się hajtali, potem królowie i w końcu biedota też chciała mieć ślub. I ludzie się teraz zadłużają, by zrobić durne wesele, z którego nic nie wynika. Mam podobne zdanie. Nie przyjąłem jej do pracy, ale umówiliśmy się na sernik.

Romantyczne kolacje wystarczyły, by zmienić zdanie i wziąć ślub?

- Jeszcze SMS-y, e-maile, zdjęcia, propozycje wspólnego wypadu na weekend, które ona regularnie kancerowała i co najwyżej umawiała się ze mną na spacer. Przy niej uświadomiłem sobie, że ślub ma sens, ale tylko wtedy, gdy dzieląc się z drugim człowiekiem, tworzy się nową jakość, która nie pachnie zniewalaniem się, wyrzucaniem sobie poczucia winy, narzucaniem sobie obowiązków.

Nasz związek jest zbudowany na fundamencie oazy. Jest w niej muzyka, można sobie zaparzyć herbatę, poczytać razem książkę, obejrzeć film, pójść do kina, teatru i pomilczeć. Ten czas wspólny to fundament. I szczerłość.

U Agi w rodzinie był problem ze szczerością. Uciekano od pewnych tematów, a w zamian kazano im czytać Biblię albo ją recytować z pamięci. Ja też w poprzednich związkach unikałem rozmowy. Dla świętego spokoju, żeby było dobrze albo dla oślego dobrego wizerunku. A szczerłość jest niezbędna. Wtedy można sobie do oczu skoczyć, a potem nie pamiętać o tym. Ważna jest też przestrzeń, jaką dla siebie tworzymy. Możemy obcować obok siebie, a jedno drugiemu nie wchodzi w drogę. To frustrujące kiedy ludzie nie

potrafią korzystać z wolności.

Jak pan korzysta?

- Nie jestem niewolnikiem własnego umysłu. Nie jestem bezradny, nie uciekam od odpowiedzialności za własne życie, nie rozczulam się nad sobą i ze strachu, by nie zamknąć jakiejś sprawy, nie brnę w nią w nieskończoność obwiniając np. kosmiczną niańkę zwaną górnolotnie Bogiem twierdzeniem, że: Bóg tak chciał! Nie jest to brak konsekwencji, bo ludzie, którzy chcą być konsekwentni, nie zawsze bywają wytrwali. Konsekwentne brnięcie, uzasadniane często "odpowiedzialnością", jest iście niewolniczym zajęciem obliczonym na brak życiowej satysfakcji.

Kiedy pan zrozumiał, że nie wolno się bać?

- W wojsku, na ćwiczeniach poświęconych procedurom analizy sytuacji kryzysowych. Byliśmy świeżo po takiej kryzysowej akcji. Bałem się wtedy strasznie. Że zostanę kaleką albo że mnie Sowieci wezmą do niewoli. Na szczęście na wypadek takiej sytuacji dostaliśmy dwie tabletki. Wyświetlili nam film instruktażowy, jak popełnić samobójstwo.

Jak 41-letni dziś facet mógł walczyć z Sowietami?

- Moja matka jest Niemką, dlatego służyłem w Bundeswehrze. W byłej jednostce nadgranicznej wchodzącej w skład sił szybkiego reagowania NATO. I w sierpniu 1991 roku alarm nie okazał się próbnym. Dostaliśmy sprzęt specjalny, suchy prowiant na trzy dni i wsadzili nas do helikoptera. Po krótkim locie wpakowano nas do śmierdzącego bunkra przeciwatomowego. Tam dowiedzieliśmy się, że w Moskwie jest pucz, a zdjęcia satelitarne potwierdzają informację, że wszystkie jednostki wojsk radzieckich jeszcze stacjonujących na terenach byłego NRD mają na ujęciach termicznych czerwone zabarwienie. To znaczy, że kilka tysięcy ich czołgów jest na chodzie.

Brzmi jak początek wojny.

- Dostaliśmy hermetycznie zapakowane nowe ubrania ABC, broń, hełmy uzbrojone w łączność radiową i kamizelki kuloodporne. Przez 50 godzin powtarzaliśmy plan sytuacyjny wrogich jednostek i nasze zadania. Rozkaz brzmiał: czekać na łączność. Hasło: za wolność.

Z helikopterów zrzucono nas nocą. Tuż po czwartej rano dojrzałem zamaskowane hełmy moich kolegów i otwierającą się bramę wjazdową radzieckiej bazy. Stał w niej jakiś Iwan, pomaszerował w stronę wsi i po 40 minutach wrócił obładowany siatkami. Koledzy przejęli go przed bramą. Weszliśmy do środka. W pięć minut zajęliśmy całą jednostkę, bez jednego wystrzału.

I?

- Byli kompletnie zaskoczeni. Część pijana. Rzeczywiście, czołgi były na chodzie, ale bez przyczyny. Natychmiast ich rozbroiliśmy. Do obiadu trwało wyłączanie silników i czekanie na rozkazy. A do wieczora wszyscy byliśmy wielką rodziną pijaków. Toasty brzmiały dziwnie swojsko: za wolność. Prawie każdy z nas kupił za 100 marek po karabinku UZI, wiadrze naboju do niego i po czapce odznaczeń i orderów.

Powrót był niezapomniany. Nasi przyjaciele od szklanki zaopatrzyli nas w mnóstwo alkoholu, co dodało nam animuszu i iście ułańskiej fantazji. Czołgi i transportery rujnowały płoty, szopy i ogrodzenia, z głośników walił Dire Straits i "Money for Nothing". Na końcu konwoju jechały trzy wozy z oficerami, którzy bez zmrużenia oka dawali do podpisania lamentującym niemieckim chłopom oświadczenie i czek.

No, a nazajutrz i my podpisaliśmy cyrograf, że przez dziesięć lat i nie tylko nie będziemy mówić o tej akcji, a oficjalna wersja brzmi: to były ćwiczenia. Przeszliśmy szkolenie z procedur analiz sytuacji kryzysowych. Do dziś je wykorzystuję jako coach i doradca.

Na czym polega?

- Hołubi wolność myślenia, ale wymaga, by prowadzić ją w bardzo zdyscyplinowanej formie, pisemnie i za pomocą rysunków. Trochę ją zmodyfikowałem. Zaczynam od tego, co Charles Hobbs nazwał zarządzaniem przyszłością. Stwierdził, że zarządzanie czasem to panowanie nad kolejnością zdarzeń. W naszym życiu większość napięć bierze się z tego, że nad nimi nie panujemy lub że chcemy je napisać na czysto. A życie jest pisane na brudno

Co dalej?

- Krok pierwszy: jasno na piśmie definiuję, co mnie męczy, martwi, co mi zagraża. Krok drugi: określam, co w związku z tym może się zdarzyć najgorszego. Tworzę najbardziej czarny scenariusz. Jest to możliwe, bo psychika nie ucieka w modlitwę, nadzieję, marzenia. Przecież to tylko intelektualna rozprawa.

Krok trzeci: stawiam pytanie, czy ten czarny scenariusz mnie zabije. Odpowiedz jest prawie zawsze negatywna w warunkach cywilnych. A zatem skoro mnie nie zabije, to dlaczego nie mogę go zaakceptować? Nie oznacza to bierności czy poddania się fatalizmowi losu, bo oto teraz krok kolejny, czyli ulepszenie tego, co najgorsze. Twórcze kombinowanie, jak zminimalizować najgorsze skutki. Najlepiej przygotować minimum 20 pomysłów. A potem najlepsze wcielić w życie kilka wybranych, by zrobić na przykład pilotaż. Testowanie jest ważne w poznawaniu, zatem w życiu.

Wydaje się proste.

- To prawda, ale długo trwało, bym to zrozumiał. I to, że trzeba snuć wielkie plany, wizje. A potem wracać do rzeczywistości i planować realistycznie, bo wizja uskrzydla.

Trzeba sobie wziąć do serca myśl Stanisława Lema, że jeśli coś jest do pomysłenia, to jest. Na wizualizację poświęcam co najmniej 20 minut dziennie. Karmię swój umysł dodatnimi wizjami i emocjami związanymi z moją przyszłością. Jestem więc krytyczny, szykuję się mentalnie na przeciwności, obmyślam ryzyka. Scenariusz moich ruchów jest tu kluczowy.

Kiedyś byłem niewolnikiem pozytywnego myślenia. To nierzadko samozagłada, a także straszne bagno. W większości opracowań na jakie się natknąłem, autorom piszącym dla "akwizytorów, domokrążców i tzw. kaznodziejów biznesowych" dosłownie popieprzyło się "pozytywne nastawienie" - co nie wyklucza sceptycznego spojrzenia na sprawę - z "pozytywnym myśleniem". I w tym obszarze anoreksja intelektualna lub niska świadomość istnienia wśród rzeszy ludzi, jakich spotykam jest nierzadko ostentacyjnie tuszowana albo pozytywnym myśleniem, albo tzw. pozytywną wiarą, co niczym się od siebie nie różni. Mogę dziś śmiało powiedzieć każdemu: Chcesz iść na łatwiznę? Chcesz być przypadkowym przypadkiem? To wystarczy, że zaczniesz "myśleć pozytywnie" i będziesz jak statek bez steru. Będziesz dryfować z prądem. A tymczasem wybierając drogę, trzeba dążyć do źródła. A jak wiadomo, do źródła oznacza pod prąd.

O miłości też pan tak myśli?

- Nie myślę o miłości w ogóle. Mam ją w sferze uczuć. To wystarczy. Dostrzegłem z biegiem lat, że miłość jest kompletnie dzika. Silna jak nienawiść. Brudna jak pies tarzający się z radością w zwierzęcych odchodach. Niejednolita, nieciąгла, fascynująca. I

widać to wszystko gołym okiem, jeśli tylko nie damy sobie łba wyprać jakąś tanią ideologią dla biedaków i pogubionych w wolności osłów.

Ja to wiem i być może z tego powodu nie toleruję duchowej tandety albo intelektualnej biedy wyrażającej się: rozczulaniem się na sobą, szukaniem zbawiciela w życiu i oczekiwaniem na podejrzaną zbawienie w zamian za spełnianie procedur. Jeśli to ma być miłością, to znaczy tylko, że w edenie tychże dusz żadnego bogactwa, a w szczególności duchowego, nie znajdziemy i trzeba spieprzać w podskokach w innym kierunku, bo jak ktoś już nam wyśpiewał: "Niebo, to dobre miejsce dla naiwnych".

Robert Krool. 41 lat. Czarny anioł: zwalniał ludzi, reorganizując m.in. TP SA, PGNiG, TUnŻ Compensa. Ekspert w dziedzinie przywództwa i zarządzania sprzedażą. Autor kilku książek w tym autobiograficznej: "Wolni i zniewoleni. Refleksje o mistycznej sztuce upadków i wzlotów" .

Źródło: Gazeta Wyborcza